

Podróż po Tanzanii - z Ashley Berger rozmawia Peter Berger

Podróż po Tanzanii - z Ashley Berger rozmawia Peter Berger

Ashley Berger jest 21-letnią studentką antropologii amerykańskiego College of William and Mary. Jej brat, Peter, pracował z Pracownią na rzecz Wszystkich Istot w Bielsku-Białej. Ashley podróżowała i mieszkała w Tanzanii przez dwa miesiące lata 1999. Pracowała jako przewodnik górski i wiele podróżowała poznając kultury i krajobrazy USA, Środkowej i Wschodniej Ameryki, Europy i teraz - Tanzanii. Obecnie koncentruje się na projekcie obszernych badań antropologicznych, których celem jest oficjalne uznanie rdzennych Amerykanów Potomac jako osobnej i suwerennej kultury i społeczności USA. Wyjątkowo ceni sobie ekscytujące przygody, rozwijające doświadczenia kulturalne, a w szczególności tanzańskie żyrafy. Niedawno Ashley rozmawiała z Dzikim Życiem o Tanzanii, kulturze, dzikiej przyrodzie, parkach, i nie tylko...

Spędziłaś w tym roku dwa miesiące prowadząc badania kulturowe i antropologiczne. Czy możesz wytłumaczyć niektóre z celów i motywacji, które doprowadziły do twojego wyjazdu do Tanzanii?

Ashley Berger: Właściwie to nie pojechałam do Tanzanii z gotowym projektem badań, chociaż oczywiście spotkanie z tak odmienną od mojej społecznością spowodowało, że dużo zastanawiałam się nad różnicami kulturowymi pomiędzy moim domem w USA a miejscem gdzie mieszkałam w Tanzanii. Projekt, z którym wybrałam się do Tanzanii to Operation Crossroads Africa - przedsięwzięcie ukierunkowane na pomoc potrzebującym, z bazą w Stanach. "Crossroads" wysyła około 10 - 12 małych grup ochotników (5-10 osób) z różnymi misjami do krajów Afryki. Po moim zgłoszeniu się do wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu przyjęto mnie, razem z innymi Amerykanami, do grupy rolniczo-przyrodniczej w północno-zachodnim zakątku Tanzanii. Wybrałam Tanzanię już na swoim zgłoszeniu, ponieważ słyszałam o jej przyrodniczych walorach i opinię dotyczącą różnorodności kulturowej będącej efektem zamieszkiwania tam jednej z najważniejszych grup plemiennych, Masajów. Zgłosiłam swój udział, ponieważ chciałam żeby ten wyjazd otworzył mi oczy, dał mi mądrość, którą mogę zdobyć w konfrontacji z kulturą całkowicie różniącą się od mojej własnej; chciałam naprawdę włączyć się w ten projekt, żeby pomóc innym w miejscu gdzie pomoc jest bez wątpienia potrzebna. Chciałam doświadczyć różnicy pomiędzy krajem pierwszego świata i życiem w kraju trzeciego świata.

Większość czasu spędziłaś mieszkając w Igabiro Farmers' Training Centre w północno-zachodniej części Tanzanii. Opowiedz nam o swoim codziennym życiu: o pracy, zajęciach, okolicy, jedzeniu, ubraniach...

A. B.:Spędziłam w Igabiro pięć z ośmiu tygodni (tyle trwała cała wyprawa). Razem z pozostałymi czterema Amerykanami, z którymi przyjechałam, zajmowaliśmy się tam mnóstwem różnych rzeczy. Chociaż przyjechaliliśmy z myślą, że jesteśmy "pracownikami społecznymi", ochotnikami, zostaliśmy przyjęci jak goście. Z taką wdzięczną gościnnością spotykaliśmy się wszędzie. Ponieważ jesteśmy Amerykanami, nosiliśmy ze sobą piętno - wielu Tanzańczyków myślało, że nie jesteśmy zdolni do trudnej fizycznej lub w ogóle ciężkiej i długotrwałej pracy. Musieliśmy udowodnić, że jesteśmy w stanie ją wykonywać, żeby pozwolili nam pracować więcej. W Farmers' Training Centre

pracowaliśmy razem ze studentami, którzy tam się szkolili, z których większość znała podstawy angielskiego (oprócz swojego własnego plemiennego języka, kihaya i kiswahili). Studenci i pracownicy uczyli nas codziennego rytmu życia i wtedy wybieraliśmy, które z prac odpowiadały nam najbardziej, co chcieliśmy robić. Nawadnianie i odchwaszczanie ogrodów warzywnych, podlewanie drzew kawowych i zbieranie ich owoców, podlewanie i sadzenie drzew, opryskiwanie krów przeciwko kleszczom, dojenie, ścinanie pni bananów czy zastawianie sideł na ryjkowce - insekty, które wyjadają wnętrza bananowców.

Najczęściej używanym systemem był "bio-gaz". Wymagało to wymięcenia całego krowiego nawozu z obory z poprzedniego dnia i załadowania do wiader. Zanosiliśmy te wiadra do cementowego basenu w wykopanej w ziemi dziurze. Wypełnialiśmy basen zawartością wiader i mieszaliśmy potem z wodą używając długich kijów aż do momentu, kiedy zawartość uzyskiwała "kremową" konsystencję. Wtedy podnosiliśmy przykrywkę z dna basenu i wypuszczaliśmy maź do dołu wykopanego pod spodem. Dziura prowadziła mieszankę do terenu pod przenośnym zbiornikiem na gaz, pod którym fermentowała, wypełniając go "bio-gazem". Odpady były wypychane na drugą stronę zbiornika siłą następnej porcji.

Gaz ze zbiornika był transportowany rurami do pieca gazowego w domu kucharza, w którym gotowano posiłki dla studentów i dla nas, a reszta nawozu używana była do użyźniania gleby na farmie i przy drzewach kawowych. Tego typu systemy można spotkać na takich farmach jak Igabiro (pow. 200 akrów), i również w mniejszych rodzinnych farmach tamtej okolicy.

Latem, w porze popołudniowej, tj. od 13.00 do 15.00, słońce w tej części Tanzanii jest bardzo silne, dlatego każdego dnia o tej porze nie wykonuje się żadnych prac na otwartej przestrzeni. Zazwyczaj odpoczywamy w tym czasie, przygotowujemy posiłki (ryż i fasola lub banany) albo czytamy.

Większość farmerów ucina sobie drzemkę. Okolice Tanzanii północno-zachodniej są wyjątkowo piękne. Drogi pokryte są ciemnoczerwonym pyłem. Faliste wzgórza sięgające na zachód od Jeziora Wiktorii są porośnięte bananowcami i drzewami kawowymi. Zbiory kawy traktowane były jako główne źródło dochodów, banany zaś zapewniały doraźne środki utrzymania. Każdy dzień lata jest tu równie słoneczny i bezchmurny. Większość rodzin z tych obszarów żyje w małych, glinianych lub cementowych domach, pośrodku swojej ziemi, porośniętej bananowcami. Nasz jadłospis zależy od nas. Tanzańczycy, którzy mieszkali z nami, żywili się głównie zielonymi bananami, przygotowując je na sposób, w jaki my przygotowujemy ziemniaki, czyli gotując i gniotąc je. Zielone banany podawali z czerwoną fasolą, a czasami z rybą. Mała ryba, zwana "dagoa", jest uznawana przez nich za smakołyk. My podawaliśmy ją naszemu adoptowanemu szczeniaku - Akemie. Nasze posiłki składały się zazwyczaj z białego ryżu, fasoli (białej, czerwonej lub zielonej) i pewnego gotowanego liściastego warzywa. Nie mogliśmy spożywać surowego jedzenia, ale byliśmy w stanie zróżnicować nasz jadłospis dzięki ogródkowi warzywnemu. Rano jedliśmy gotowaną kukurydzę lub proso, z którego przygotowywaliśmy zupę mleczną zwaną "ugi". Najlepsze jednak były owoce. Małe, żółte i słodkie banany, mango, papaja i ananasy, za które oddalibyśmy życie. Ślinka mi cieknie na samą myśl. Woda, aby ją oczyścić, musiała być gotowana, więc piliśmy "Chemi colę" o smaku pomarańczy lub winogron, którą się mieszało z zimną przegotowaną wodą. Jak sama nazwa wskazuje, miało to syntetyczny smak, lecz pozwalało stłumić metaliczny smak gotowanej wody. Do gotowania używaliśmy małego przenośnego naftowego piecyka, kuchenki na węgiel drzewny oraz piecyka na bio-gaz. Dzięki naszemu amerykańskiemu poprzednikowi, ochotnikowi z Korpusu Pokoju pracującemu w Tanzanii, mieliśmy kilka wypróbowanych receptur takich jak placuszki z jęczmiennej mąki, chleb kukurydziany i bananowy, które mogliśmy przygotowywać w piecyku węglowym. Próbowaliśmy również połączyć kilka dań, jak chleb, spaghetti i pizza oraz potrawę z makaronu, jak tylko udawało nam się zdobyć makaron lub sos pomidorowy.


Czy mogłabyś opisać wrażenia, jakie zrobiły na tobie relacje między ludźmi, między tobą a mieszkańcami: zwyczaje, zachowania, sposób myślenia?

A. B.: Pierwszą cechą, jaka przychodzi mi na myśl jest siła fizyczna Tanzańczyków. Często się

zdarzało, że nasi tanzańscy przyjaciele przychodzili przywitać się z nami i, zwłaszcza jeśli była to kobieta, śmiała się i klepała nas po ramieniu. Uderzenie było tak silne i nieoczekiwane, że najczęściej kończyło się na tym, że potykałam się i odskakiwałam na kilka kroków. Wkrótce moi amerykańscy przyjaciele zaczęli witać mnie w podobny sposób, aby sprawdzić moją reakcję.

Prawa ręka jest przeznaczona do takich czynności jak jedzenie i gotowanie. Lewa natomiast jest brudna i może być używana do drapania się lub zbierania. Wiele tanzańskich rodzin lub kobiet posiadających rodzinę, je zasiadając przy jednym, wspólnym nakryciu, gdzie tylko prawa ręka jest używana (nie używa się sztućców). Mieszkańcy wioski z obszaru, który zamieszkiwaliśmy byli wobec nas bardzo przyjaźnie nastawieni. Mówili wszystko, co im przyszło do głowy. Dlatego, podczas każdej naszej przechadzki przez wieś, lokalne dzieci biegały za nami z okrzykiem "biali ludzie!" ("wzungul!"), co wzbudzało śmiech u ich rodziców. Każdy każdego pozdrawiał przez cały czas. Tradycja nakazuje młodszej osobie pozdrawiać starszą. Nauczyliśmy się pozdrawiać ludzi w kiswahili na różne sposoby. Kiedy nauczyliśmy się już wszystkiego, opanowaliśmy również różne formułki w języku lokalnym, kihaya.

Kobiety i mężczyźni w Tanzanii mają różne role. Moje przybycie tam - jako kobiety - było dla mnie trudne. Jestem białą Amerykanką, ale nie jestem traktowana w ten sam sposób, w jaki traktuje się tanzańskie kobiety. Kobiety tam bardzo ciężko pracują, podczas gdy mężczyźni oceniają rezultaty ich pracy. W rodzinie rolniczej kobieta spędza godziny wykonując swoją pracę, łącząc to z odpowiedzialnością za dzieci i gotowanie. Mąż może mieć wiele żon, czasami może nawet nie pamiętać imion wszystkich swoich dzieci. Pomimo, że okrucieństwo wobec żony jest uznane prawnie za karalne, jest częstym zjawiskiem. Jako kobiecie, trudno było mi przekonać tubylców, że potrafię prowadzić samochód. Nie mogli uwierzyć kobiecie, a już zupełnie nie do pomyslenia było dla nich, że 21-letnia kobieta potrafi prowadzić samochód. Kolejną znamioną cechą dla tubylców jest tusza. Jeśli jesteś gruby, oznacza to, że jesteś bogaty; wtedy możesz pozwolić sobie na niewykonywanie pracy fizycznej. W przeciwieństwie do kultury amerykańskiej, tutejsze kobiety naśmiewają się z tych, które są zbyt szczupłe. Otwarcie, z dumą podkreślają swoją tuszę.

Jeden z członków naszej ekipy był czarny. Gdziekolwiek poszliśmy i kogośkolwiek  spotkaliśmy, musieliśmy tłumaczyć, że jest Amerykaninem. Tubylcy nazywali go "rasta", mając na myśli Jamajkę lub pytali, z której części Afryki pochodzi. Nie mogli uwierzyć, że czarny mężczyzna może być Amerykaninem, a jak już uwierzyli, zaczęli twierdzić, że musi być muzykiem tak jak Bob Marley, Wu Tang czy Tupac. Młodzi tubylcy dobrze znali sławnych amerykańskich raperów.

Kolejną ciekawą rzeczą, jaką odkryliśmy, to przeświadczenie tubylców o Ameryce, że jest to kraj, w którym nie ma AIDS. Spotkałam się również z opinią, że wielu Afrykańczyków wini Amerykanów za sprowadzenie AIDS do Afryki. AIDS jest bardzo poważnym problemem w Afryce, zwłaszcza wśród kobiet. Ludzie, z którymi rozmawialiśmy, nie zdawali sobie sprawy, że ludzie w Ameryce umierają na AIDS. Myślę, że oni wierzą, że mamy lekarstwo na wszystko.

Czy mogłabyś opisać swoje spotkanie z Masajami i ich społecznością? Co najbardziej zwróciło twoją uwagę?

A. B.: Kiedy opuściliśmy Igabiro, podróżowaliśmy z inną grupą Amerykanów do miasta Arusha w południowo-wschodniej części Serengeh. Stamtąd mieliśmy możliwość odwiedzenia jednej z masajskich wiosek. Masaje, których odwiedziliśmy, żyją niedaleko Narodowego Parku Ngorongoro, który jest jednym z najpopularniejszych miejsc odwiedzanych przez turystów. Wioska ta jest udostępniana do zwiedzania za opłatą. Za każdą z naszych ciężarówek musieliśmy zapłacić 5000 szylingów (ok. 27 zł), aby nasza dwunastka mogła odwiedzić wioskę, rozejrzeć się i zrobić nieograniczoną ilość zdjęć. W razie odmowy zapłaty Masajowie wszczynają walkę i nie pozwalają, żeby robiono im zdjęcia. Wewnątrz wioski, która jest tak naprawdę skupiskiem drewnianych chatek ustawionych w formie kręgu otoczonego płotem z krzewów, staliśmy otoczeni przez mieszkające tam kobiety i dzieci. Wszyscy noszą tam długie, czerwone i wzorzyste nakrycia zarzucane na ramiona jak togi. Kobiety i młode dziewczyny nosiły ekstrawagancką, perlistą biżuterię, którą zakupili od nich

niektórzy z członków naszej wyprawy.

Najmłodsze dzieci były oczarowane przez nasze aparaty fotograficzne, zwłaszcza obiektywy z zoomem. Spędziłam pół godziny pozwalając im patrzeć przez obiektyw, który chowałam i wysuwałam. Dzieci te były niemożliwie brudne, ale dobrze odżywione i zdrowe. Miałam pewne rozterki, czy robiąc im zdjęcia nie traktuję ich jako dzikiej odmiany tego, co przyjęte jest ogólnie za ludzkie. Czułam się jak odwiedzający zoo, otoczona istotami innego gatunku. Masajowie pochodzą z pasterskiego szczepu nomadów. Rozwój turystyki na ich terenie zmusił ich do osiadłego trybu życia. Włączyli więc rolnictwo do swojej tradycji pasterskiej, jednak ilość obszarów uprawnych jest ograniczona. Niestety brakuje im szkolnictwa, które umożliwiłoby im dołączenie do innych obszarów Tanzanii. Nie mają innej możliwości na zarabianie poza uprawą i sprzedażą wyrobów swojego rzemiosła. Sprzedaż własnego wizerunku jest dla nich sposobem na zdobycie środków utrzymania bez potrzeby pracy. Moje rozterki wypływały stąd, że próbowałam znaleźć najlepszy sposób na okazanie tym ludziom szacunku i zrozumienia, że docierająca tam kultura zachodnia coraz bardziej utrudnia im pozostanie wiernym temu stylowi życia, w którym się wychowali.

Podczas swojego pobytu w Tanzanii miałaś możliwość odwiedzenia niektórych parków narodowych. Czy mogłabyś nam powiedzieć gdzie byłaś i opisać te tereny, ich klimat?

A. B.: Z miasteczka Arusha wybraliśmy się do dwóch "parków". Jednym z nich był park Ngorongoro. Część, którą odwiedziliśmy jest nazywana Kraterem Ngorongoro, to krater o średnicy 15 mil utworzony w wyniku zapadnięcia (nie eksplozji). Jest on najbardziej widowiskowym miejscem, jakie kiedykolwiek widziałam. Znajduje się tam wielkie jezioro, a teren pozbawiony jest ludzkich mieszkańców.

Będąc wewnątrz krateru i obracając się wokół widać jedynie brzegi otaczających ścian. To niesamowite. Żyją tam nosorożce, słonie, hieny. Miałam wrażenie, że powróciłam do miejsca, do którego człowiek jeszcze nie wkroczył i w którym nie zdołał zostawić śladu swej odrażającej stopy. Było to niesamowitym przeżyciem. Kolejnym miejscem, które odwiedziliśmy był Międzynarodowy Park Terengeri. To długi i wąski park pokryty płaskimi wzniesieniami i przecięty rzeką Terengeri. Podczas naszej wizyty rzeka była niemal wyschnięta, pozostały tam jednak krzewy, drzewa i MNÓSTWO dzikiego życia. Klimat był chłodny i suchy. W powietrzu wisiały duże ilości pyłu. Tamtejsze wzgórza są przepiękne, znaczone szlakami przebywających je słoni i żyraf. Bardzo łatwo się tam zgubić - odnalezienie właściwej drogi jest trudne, tworzą one bowiem sieć rozciągającą się na obszarze całego parku. Oba te parki są nieprawdopodobnie piękne. Jestem BARDZO szczęśliwa, że mogłam obejrzeć coś takiego.

Czy dostrzegasz jakieś podobieństwa i różnice pomiędzy sposobami ochrony środowiska naturalnego w Tanzanii (włączając jej parki narodowe) a ochroną takich obszarów w krajach zachodnich czy innych miejscach, które odwiedziłaś?

A. B.: Parki, które odwiedziłam w Tanzanii wyglądają zupełnie inaczej niż parki w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam. Drogi nie są tam wybrukowane, a jeśli już, to tylko gdzieś tam. Poruszaliśmy się tam pojazdem z napędem na cztery koła. Parki tamtejsze nie są uczęszczane przez tubylców, odwiedzający to głównie Amerykanie i Europejczycy, co znacznie zmniejsza liczbę samochodów w samych parkach. Ponieważ parki odwiedzane są głównie przez obcokrajowców, opłaty są wysokie - \$25 od dorosłej osoby za dzień. Rozbicie namiotu na obszarze parku jest również drogie. Kiedy odwiedzaliśmy miejsca, w których żyje tzw. "wielka piątka" (nosorożce, słonie, lwy, lamparty, bawoły wodne), wszyscy odwiedzający pozostawali cały czas w samochodach. To poważnie ograniczało ingerencje w środowisko.

W parkach amerykańskich nie pozostawiane są żadne śmieci. Zdarzyło mi się widzieć śmieci w okolicach sąsiadujących z parkiem Terengeri, w miejscu przeznaczonym do spożywania posiłków. Oczywiście to niczego nie tłumaczy, ale można sobie wyobrazić turystów podczas posiłku, którzy


nieopatrznie pozwalają, aby wiatr poniosł ich śmieci gdzieś dalej. Co ciekawe, ludźmi tak postępującymi byli Tanzańczycy. Zaczęłam się zastanawiać, co by się stało gdyby to Tanzańczycy byli tymi, którzy odwiedzają ten park najczęściej.

Niestety nie wiem, w jaki sposób prowadzona jest gospodarka naturalnymi zasobami leśnymi na terenach parków, więc nie mogę dokonać tutaj żadnego porównania. Jako że nie dostrzeżliśmy żadnych śladów wycinania lasów, czy prowadzenia działalności górniczej, domyślałam się, że jest to albo zabronione, albo wielkie przedsiębiorstwa jeszcze tu nie dotarły w swej pogoni za zyskiem.

Czy mogłabyś opisać swoje spotkania z dzikością w Tanzanii? Które z nich było najciekawsze i dlaczego?

A. B.: Moje spotkania z dzikością miały głównie miejsce podczas naszych podróży safari, kiedy obserwowaliśmy dzikie zwierzęta przez lornetkę z samochodu. Widzieliśmy zwierzęta należące do tzw. "wielkiej piątki", ale również hipopotamy, flamingi, zebry, hieny, małpy, pawiany, sępy, strusie i wiele innych. Najbarwniejszym doświadczeniem było spotkanie z dwoma słońiami, które jadły stojąc na naszej drodze. Udało nam się podjechać do nich na dystans około 3 metrów. A one nie chciały się ruszyć żeby nas puścić; nie mogliśmy ich ominąć, ponieważ po bokach rosły drzewa i krzewy. W czasie, gdy obserwowaliśmy jak pożerają liście z drzew, jeden z nich zrobił ogromną kupę. Gdy tylko wielka fala smrodu doszła do nas, drugi z nich zrobił to samo i znowu poczuliśmy smród. Kiedy się zaśmialiśmy, słońie zorientowały się, że nie są same, jeden uciekł a drugi obrócił się do nas i stanął wachlując się uszami - znak gotowości do ataku. Jako że słońie są znane ze swoich ataków na samochody, wycofaliśmy się o kilka stóp, czekając aż zdecyduje się zejść nam z drogi. Nasz kierowca dodał gazu i przemknęliśmy obok rozjuszonego słońia we mgle z kurzu.

Jak to jest doświadczyć safari? Czy mogłabyś w swoim opisie nakreślić sytuację ekonomiczną przeciętnego Tanzańczyka lub całej rodziny; jak to się ma do Parku, dzikiej natury i eko-turystyki? Czy zaobserwowałaś jakieś negatywne lub pozytywne zdarzenia?

A. B.: Jak już wspomniałam, turyści w parkach to obcokrajowcy. Mam wrażenie, że przeciętny  Tanzańczyk nie wie za wiele o rezerwatach dzikiej przyrody, co więcej, nigdy tam nie był - pewnie nawet nie przyszło mu to do głowy. Przeciętny Tanzańczyk, tam gdzie pracowaliśmy, był bardzo biedny, żył z pieniędzy z ograniczonej sprzedaży swoich wyrobów i żywił się produktami z własnej uprawy. Wydawało się, że znacznie więcej satysfakcji dawały mu niematerialne wartości codziennego życia, takie jak interakcje z innymi, muzyka, rozmowy, taniec. Rezultaty ekonomicznego myślenia są widoczne jedynie w okolicach parków narodowych... dobrobyt wszystkich miast wokół tych parków, w których znajdują się domy gościnne, małe restauracje ("hoteli" w języku swahili), dyskoteki... Jest mnóstwo sklepów z pamiątkami i przystanków wzdłuż polnych dróg prowadzących do parków, na których sprzedaje się "tradycyjnie plemienne" przedmioty - maski, dzidy, biżuterię - które są "wchłaniane" przez amerykańskich turystów po "okazyjnych" cenach. Te wyroby są w stanie utrzymać tanzańską rodzinę w znacznie większym stopniu niż praca farmerska w rejonie gdzie my pracowaliśmy. Chociaż sądzę, że to świetnie, że zarabiają pieniądze, szczególnie dlatego, że szkoła powyżej siódmego roku życia jest droga i wiele dzieci (głównie dziewczynek) nie może z tego powodu do niej uczęszczać, przerażał mnie widok komercyjnego rozwoju i to, jak niektórzy zostają w tyle, w kurzu za pędzącą machiną rozwoju, którego tempo wzrasta nieustannie. Odniosłam wrażenie, że ludzie zatracają swoją tożsamość, kiedy komercja i kapitał wkraczają na arenę - ten aspekt przeraża mnie najbardziej.

Wraz ze wzrostem eko-turystyki, rośnie potrzeba wzięcia pod uwagę przyszłości unikatowej i pięknej dzikiej przyrody Tanzanii. Być może kraj ten teraz nie odczuwa jeszcze negatywnych efektów turystyki, ale gdy patrzę na rozwijający się bezustannie przemysł, obawiam się tego, jak wielki wpływ samochody, safari i zwiedzający wywrą w przyszłości na zwierzęta i ziemię, z której żyją. Wątpię, czy rząd zechce ograniczyć tak zachwycający sposób pomnażania dochodów, pomimo szkodliwych

efektów, jakie może odczuć populacja zwierząt... Pieniądze są TERAZ, a skutki są odczuwane PÓŹNIEJ, więc można je "wygłuszyć".

Korzystając z twojego doświadczenia "z pierwszej ręki," jak myślisz, czy są dziedziny, aspekty, w których dzisiejszy sposób życia Tanzańczyków jest bardziej pro-ekologiczny niż cywilizacji Zachodu? Czy bywa też na odwrót?

A. B.: Hmm... Myślę, że odpowiadając na to pytanie powinnam odnieść się do poprzednich moich wypowiedzi, dotyczących tanzańskiego sposobu życia, zależności od ziemi, nie zaś używania dużego przemysłu, który przynosi masową produkcję, zanieczyszczenie, itd. Jednak Tanzania jest rozwijającym się krajem, bardzo silnym w Afryce, i można jedynie snuć przypuszczenia, że duże korporacje właśnie teraz przygotowują się do położenia swojej łapy na nowych terenach.

Patrząc wstecz, jak myślisz, jakie najważniejsze lekcje dało ci twoje tanzańskie doświadczenie? W jaki sposób każdy z nas może z niego skorzystać?

A. B.: Myślę, że to pytanie jest po prostu zbyt obszerne... To, czego się naprawdę nauczyłam, o czym chyba już wcześniej wiedziałam (po prostu potrzebowałam sobie trochę przypominać), to żeby nie brać tego, co się posiada za coś, co nam się należy, nie traktować tak pozycji, w której się akurat znalazło, oraz wiedza, którą można osiągnąć poprzez przebywanie w innej kulturze i doświadczanie jej z otwartym umysłem. Tak wiele nowych wglądów w codzienne rzeczy uczy pokory. Myślę, że jest to coś, czego trzeba doświadczyć samemu, żeby naprawdę zrozumieć. Myślę, że po to powinniście pojechać do Tanzanii.

Tłum.: Sylwia Łyczkowska i Agata Korbel